

## Michał Kuź: O amerykańskiej rzymskości

Pax Americana, jak i coraz częściej Imperium Americanum, odmieniane jest przez wszystkie przypadki - przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Początki republiki: USA tekst Michała Kuzia.

Stara Anglia była i jest krajem Północy. Może nie tak egalitarnym, germańskim i ewangelicznym jak kraje skandynawskie, ale północnym mimo wszystko. Krajem jednak protestanckim - którego monarchiczny republikanizm na tym protestantyzmie się opiera - i krajem raczej obyczajowego formalizmu niż czegoś, co Alexandre Kojève trafnie nazywał „słodkością życia” i przypisywał kulturze łacińskiej. Angielska fascynacja Południem, od Chaucera, poprzez Szekspira na Byronie i Shelleyu skończywszy, była zawsze fascynacją kulturową innością, a nie głębszą inspiracją. Pamięć o dawniejszej, obecnej kiedyś i w Anglii, tradycji rzymskiej owszem była kultywowana, ale na sposób pozbawiony życia i treści. Łacińskość była w Albionie zawsze czymś elitarnym, sztucznym i nudnym jak ćwiczenia z gramatyki. Doskonale ten stan ducha ilustruje słynna scena z filmu „Żywot Briana”, w której centurion przydybuje smarującego na murze buntownika (Briana), lecz - zamiast surowo ukarać - chwyta przestępcę za ucho i zaczyna odpytywać z deklinacji i koniugacji. Potem zaś ta personifikacja rzymskości w wydaniu angielskim każe Brianowi po 100 razy napisać *Romani ite domum* [Rzymianie, idźcie do domu!] zamiast niepoprawnej formy *Romanes eunt domus*.

Rzym, który Anglikom kojarzył się przez wieki tylko z nudnymi szkolnymi ćwiczeniami, ożył jednak w pełnej krasie i połączył się na trwale z anglosaską kulturą po drugiej stronie oceanu. Oczywiście, podobnie jak elity brytyjskie, amerykańscy ojcowie założyciele byli doskonale wyszkoleni w łacinie i grece. Świetnie znali też klasyków. W 1750 Uniwersytet Harvarda wymagał na przykład, aby składający egzamin wstępny kandydat umiał: „czytać ze zrozumieniem i dokonać rozbioru gramatycznego tekstów Cyncerona, Wergiliusza oraz podobnych autorów łacińskich, a także umiał wypowiadać się w łacinie zgodnie z przyjętymi zasadami prozodii oraz rozumiał i dokonywał rozbioru zdań w zwykłej grece takiej jak w Nowym Testamencie, u Izokratesa lub w podobnych greckich tekstach.” Inne uczelnie formułując swoje wymagania nie pozostawały zaś daleko w tyle za Harvardem. Wszystko to jednak nie odbiegało jeszcze zbyt od modelu nauczania propagowanego przez opętanego gramatyką „centuriona”. Jakościowa zmiana przyszła dopiero wraz z niepodległością i rozpoczęciem prac nad ratyfikacją nowej konstytucji w okresie między 1787-1795.

Ktoś, kto sięgnąłby po amerykańską prasę z owego okresu, mógłby pomyśleć, że za pomocą jakiejś istic Lemowskiej maszyny nagle do współczesności (a raczej ówczesności) przeniosły się całe kohorty rzymskich mężów stanu. Jerzy Waszyngton, który po wojnie nie sięgnął po władzę dyktatorską, był „amerykańskim Cyncynatem”. Federaliści i antyfederaliści gremialnie zaś zaczęli podpisywać swoje artykuły rzymskimi pseudonimami. Federalistyczny Publiusz, zbiorowe wcielenie Alexandra Hamiltona, Jamesa Maddisona i Johna Jaya wziął swoje imię od Publiusa Valeriusa Publicola, pogromcy Tarkwiniuszy. W „Massachusetts Gazette” antyfederalista James Winthrop podpisywał się zaś jako Agrypa. Robert Yates, inny znany antyfederalista,

występował jako Brutus. Na co Hamilton (najprawdopodobniej) mógł opowiedzieć tylko jako... któż inny, jeśli nie „Cezar”! Innego antyfederalistę – Johna Clintona odnajdujemy pod pseudonimem Katon. Zaś jego polityczny kolega, Patrick Henry, autor słynnych słów „give me liberty or give me death” [„dajcie mi wolność albo dajcie mi śmierć”] podpisywał się jako Senex (łac. starzec). Z pomniejszych autorów wypada odnotować, że George Turner był Tuliszem, William Duer Flio-Publiuszem, James Iredell to Marcus, James Warren to Helvidius Priscus a Arthur Lee, nawiązując do przezwiska Waszyngtona, występował jako Cyncynat.

Pseudonimy te nie były też bynajmniej przechwałkami, teksty ich autorów faktycznie nawiązały do budowy republiki, wypędzenia Tarkwiniuszy i walki: najpierw wolność, a potem o potęgę. Co zadecydowało o tym rzymskim odrodzeniu? Zapewne kluczowe znaczenie miały tu cztery czynniki. Po pierwsze, ojcowie założyciele po wygranej wojnie o niepodległość musieli znaleźć jakiś historyczny punkt odniesienia, którzy inaczej niż w tradycji brytyjskiej promował silny republikanizm w oderwaniu zarówno od monarchii, jak i od zapędów dyktatorskich. Zapędy takie Amerykanie znali zaś choćby z historii rewolucji cromwellońskiej.

Po drugie, jako potomkowie wiejskiej szlachty [*gentry*] i pomniejszej arystokracji ojcowie założyciele byli większymi tradycjonalistami od republikanów francuskich. Bliższe były im dosłownie pojęte klasyczne cnoty od burżuazyjnego żywiołu. Co więcej, jako spadkobiercy szkockiego oświecenia opowiadali się za szacunkiem dla wiary, a Woltera omijali szerokim kołem. Po trzecie, przedkładali Rzym nad Grecję. Nawiązanie wprost do greckich symboli wiązało się bowiem z zaakceptowaniem egzotyki obyczajowej, która wykraczała już zbytnio

poza ogólnie przyjęte ramy protestanckiej moralności. Mówiąc wprost, ojcowie założyciele znali grekę na tyle dobrze, by pamiętać podpitego Alcybiadesa, który próbował zaciągnąć Sokratesa do łóżka i z tego powodu nie wymagać na egzaminie wstępnym na uczelnie znajomości „Uczty”. Znali też zapewne dobrze historię tebańskiego „Świętego Zastępu” oraz opisy rozmaitych spartańskich i macedońskich rozrywek.

Czwarty powód miał zaś związek z francuskim myślicielem, który w ówczesnej prasie cytowany był niemal tak często jak Biblia – chodzi tu oczywiście o Monteskiusza, który był przecież na wskroś przesiąknięty rzymskością. Najnowsze interpretacje jego pism zaś znacznie obniżają w jego myśli rangę nowoczesnego republikanizmu, czyli doktryny pokoju i ładu opartego na konsumpcji oraz handlu, a podkreślają znaczenie jakie miały dla niego cnoty obywatelskie i monarsze. Kluczowe dla tego odczytania myśli Francuza jest zaś jego wczesne dziełko: „Rozważania o przyczynach wielkości Rzymian i ich upadku”.

Idąc tropem Machiavellego, Monteskiusz pisze w tej książce, że to, co doprowadziło do ostatecznego rozkładu republiki, to plutokratyzacja i kupowanie ładu społecznego za pieniądze. Ta z kolei, paradoksalnie, jest owocem sukcesu republiki i jej podbojów. Elity, mogąc sięgnąć po fortuny za granicą, coraz mniej liczyły się z obywatelami, coraz mniej odpowiadał im też niezborny powolny republikański sposób rządzenia. Najpierw utrzymywały więc fikcję republiki, a potem otwarcie poparły cesarstwo, które podejmowało decyzje sprawniej, szybciej i odważniej. Zwłaszcza zaś te decyzje, które pomnażały zyski i wpływy już dobrze wykształconych imperialnych elit.

W pracy Monteskiusza czytamy (cytuje z wydania angielskiego):  
„Wspaniałość państwa doprowadziła do wspaniałości indywidualnych fortun. Jednak, jako, że źródłem bogactwa jest moralność a nie skarby, ograniczone skarby rzymskie doprowadziły do nieograniczonej miłości do luksusów i zbytków... Mając więcej niż potrzeba do dobrego życia prywatnego trudno być dobrym obywatelem”.

Pomni rad Monteskiusza ojcowie założyciele kultywowali niemal instynktowny antyimperializm. Jest to bardzo dobrze widoczne zarówno w tekstach federalistów oraz antyfederalistów, jak i w słynnym „Farewell Address” [„Liście pożegnalnym”], który Waszyngton spisał składając swój urząd. Czy jednak został posłuchany? Amerykańskie elity nie uczą się już oczywiście łaciny z takim zapałem jak w wieku osiemnastym. Rzymski styl jest jednak obecny niemal wszędzie: w obyczajach akademickich, w architekturze, w stosunku do więźniów i przestrzegania prawa, a nawet w rozrywkach zbiorowych. Staczane na ukształtowanych jak areny stadionach mecze footballu amerykańskiego natychmiast przywodzą na myśl starcia gladiatorów: umięśnionych, niepomyślnych na kontuzje uzbrojonych herosów, którzy pochodzą ze społecznych nizin i tym chętniej poświęcających swoje życie i zdrowie. To nie przesada! Podczas gdy mówimy o tym, że nasza złożona w dużym stopniu z trzydziestolatków drużyna piłkarska „dojrzeje do mundialu”, który ma się odbyć za dwa lata, zawodowi gracze NFL patrzą na swój zawód w zupełnie innej perspektywie czasowej. Przeciętna kariera to dziś trochę ponad trzy lata, kończy się zaś ona zwykle kontuzją lub gorzej – trwałymi uszkodzeniami mózgu. Choć bywa oczywiście, że i sławą oraz bajecznym bogactwem.

Każdy, kto spędził w USA wystarczająco dużo czasu, dostrzega wyraźną aurę rzymskości na każdym kroku. Pytanie tylko, czy jest to nadal rzymskość republikańska, czy już imperialna? Cóż, w opublikowanej w 2012 książce the „Next Decade” [„Następna dekada”], George Friedman powraca do dawnego rzymskiego tematu i także zastanawia się, czy Stany Zjednoczone nie powtórzą w pełni rzymskiego cyklu: od republiki, poprzez plutokrację do cesarstwa. Jego refleksje nie są budujące, nie widzi bowiem możliwości nagłego zwinięcia amerykańskiego imperialnego cielska złożonego z interesów gospodarczych, militarnych i politycznych. To zdestabilizowałoby całą globalną politykę. Zresztą być może dlatego tak wielkie przerażenie wśród globalnych elit budzi dziś Donald Trump. Przecież w kontekście jego rzekomych „szaleństw” nikt tak naprawdę nie obawia się „zagranicznych przygód”, przed którymi przestrzegał rząd federalny Jerzy Waszyngton. Wszyscy drżą raczej na myśl, że Trump zgodnie z zapowiedziami będzie prawdziwym izolacjonistą.

Zdaniem Friedmana natomiast jednym odpowiedzialnym rozwiązaniem w kontekście amerykańskiej prezydentury jest krucha równowaga: bycie wolną republiką wewnątrz i działanie jak imperium na zewnątrz. Jeśli jednak teoria Monteskiusza jest prawdziwa, to taka równowaga nie jest na dłuższą metę możliwa.

Z drugiej jednak, strony nawet jeśli republikańska fasada się zawali, to nowe imperium raczej nie będzie przypominać prostych autorytarnych modeli z dawnej Europy i współczesnej Ameryki Południowej czy Afryki. Dawne imperia i niektóre mniej rozwinięte współczesne systemy niedemokratyczne powielają bowiem często inny rzymski model: personalną dyktaturę opartą na charyzmie. Tymczasem, jak

zauważył już wielki teoretyk amerykańskiej demokracji Tocqueville, następcami „znacznych osób” w demokratycznej erze są organizacje kolektywne, asocjacje. Problem polega jednak na tym, że te organizacje zbiorowe z czasem podlegają procesom degeneracji bardzo przypominającym te, które Monteskiusz opisywał badając historię rzymskiej arystokracji.

Obecnie wśród zbiorowych organizacji, osób prawnych, w USA już dawno prymu nie wiodą przecież małe parafie, związki zawodowe czy kluby rotariańskie. Nie dominują już nawet partie polityczne, które były przecież organizacyjnymi potęgami dwudziestego wieku. Słowo *korporacja*, które kiedyś miało szersze znaczenie, dziś zarówno w USA jako i na świecie stało się synonimem wielkiego przedsiębiorstwa. Począwszy od 2010 takie przedsiębiorstwa zyskały zaś pełną osobowość prawną. Po słynnym orzeczeniu *Citizens United v. Election Commission* korporacje mogą np. w nieograniczony sposób finansować kampanie wyborcze. Sąd Najwyższy oczywiście, w swej wspinałomyślności, na to samo pozwolił innym osobom prawnym NGO-som i związkom zawodowym. Dziwnym jednak trafem okazało się, że chcą z niego bardzo szeroko korzystać nastawione na zys korporacje.

Co ciekawe, kiedy Donald Trump przedstawia się jako niezależny „trybun ludowy”, to wie, co robi. W czerwcu miał zaledwie 1,3 miliona na wydatki kampanijne, Hillary Clinton zaś 42 miliony. Dlaczego? Trump ma do dyspozycji tylko swoje własne pieniądze zarobione w realnej gospodarce (a nie rynkach finansowych) plus drobne datki sympatyków. Za Hillary stoi równocześnie Wall Street, „zielony przemysł” i saudyjska ropa, która weszła w głęboką symbiozę z

systemem amerykańskich korporacji. To Hilary jest imperialnym liderem, Trump zaś przy całej swej groteskowości jest dokładnie takim obrońcą republiki, na jaką dziś tę republikę stać.

Nic dziwnego, że nawet poważniejsi od Friedmana politolodzy nie ukrywają już geopolitycznej rzymskości i imperialności USA. Pax Americana, jak i coraz częściej Imperium Americanum, odmieniane jest przez wszystkie przypadki. Oczywiście inaczej niż Rosja, zastygła w swoim anachronicznym mongolskim modelu imperialnym, Stany Zjednoczone w sensie dosłownym nie inkorporują już od lat nowych terytoriów. Dziś takie działanie zwiększa przecież odpowiedzialność decydentów niewspółmiernie do potencjalnych korzyści. Tym niemniej podpisanie umów handlowych TTIP (z UE) i TPP (z krajami azjatyckimi) faktycznie stworzyłoby imperium przyćmiewające nawet dawną Wielką Brytanię i zamykające Rosję oraz Chiny w gospodarczych kleszczach. Wtedy, cytując zespół Rammstein, można byłoby faktycznie powiedzieć już, że *we all live in America*.

Niestety, w tej globalnej rozgrywce Polska to tylko pionek, który może i stanie się kiedyś hetmanem, ale raczej nie w dającej się łatwo przewidzieć przyszłości. Rzymskość USA zawsze jednak przyciągała Polaków do Amerykanów i vice versa. W kilku ustępach „Federalist Papers” Maddison i Hamilton wprost rozpoznają Polskę szlachecką jako inną próbę nadania rzymskiej republikańskiej zasadzie nowoczesnej formy. Przy czym Madison podziwia rozmiar i rozmach przedsięwzięcia, a Hamilton przestrzega przed słabością militarną, która może sprawić, że USA podzielą los Rzeczypospolitej. Być może właśnie idąc tropem tych myśli wspomniany już Friedman dostrzega w Polsce potencjał, który może pozwolić jej odbudować silną republikę, a potem zacząć otaczać ją lokalnym przynajmniej imperium.

Na razie to oczywiście tylko fantastyczne bajania. Nie ulega jednak wątpliwości, że wielu polityków nad Wisłą chciałoby potworzyć rzymski cykl nawet za cenę nieuchronnego upadku. Chcielibyśmy bardzo mieć dziś te straszne amerykańskie problemy: zbyt bogate polskie korporacje, zbyt rozległe wpływy i zbyt potężną armię. No bo któż by nie chciał?